PRYW. GIMN. ŻENSKIE ZOFII STRZAŁKOWSKIEJ WE LWOWIE.

Tadeusz Pini.

MŁODOŚĆ SŁOWACKIEGO.

Szkic niniejszy nie ma naturalnie najmniejszej pretensyi do nazwy wyczerpującego obrazu dziejów młodości autora „Króla Dncha". Wobec faktu, że dzieje te opowiada p. Hösick w swej trzytomowej „biografii psychologicznej" Słowackiego na 386 stronicach wielkiego formatu, — odpada, jak sądzę, wszelkie podejrzenie, abym na kilkunastu kartkach chciał i mógł ten sam przedmiot sposobem epickim zamknąć. Zamiar mój był zupełnie inny.

Z pomiędzy biografów Słowackiego jedni nie mogli, drudzy zaś nie chcieli zwracać uwagi na wiele ciekawych szczegółów, dotyczących zwłaszcza otoczenia, wśród którego autor „Kordyana" wychował się i które nadawało kierunek jego uczuciom i myślom. Szczegóły te są tego rodzaju, że, należycie oświetlone, wyjaśniają dokładnie lini rozwoju umysłowego, po której Słowacki kroczył, a rzucając pęk światła nie tylko na epokę młodości, która sama przez się, w dzieła uboga, nie wielkie miałaby znaczenie, lecz, co ważniejsza, pośrednio także na lata dojrzałości artystycznej, na czas pobytu na emigracyi. Zastanowiwszy się nad zestawionymi tu faktami, czytelnik łatwo uświadomi sobie, jak one musiały wpływać n. p. na stosunek Słowackiego do emigracyi, do Mickiewicza, do matki — i odtworzy sobie zapewne na ich podstawie tragedyę życia poety, której prolog starałem się tutaj naszkicować.

Z tego planu wynikło, że zwracam uwagę tylko na te fakty i szczegóły, które wywarły wpływ na wytworzenie się charakteru Słowackiego i zdolnościom poetyckim jego nadały pewien kierunek lub koloryt, albo na te, które dają pojęcie o środowisku, w którem Słowacki wzrastał. Inne szczegóły znajdzie czytelnik w listach Słowackiego do matki, w listach p. Becu do Odyńca, lub zebrane pracowicie w monografii p. Hösicka.

* *
*

Euzebiusz Słowacki, profesor „wymowy i poezyi“ w liceum Krzemienieckiem, był stanowczo niezwykłym człowiekiem. Wcześnie osierocony, zmuszony o własnych siłach przebijać się przez życie, nie mógł ukończyć szkół wyższych; uzyskał jedynie tytuł „geometry królewskiego“ i w tej roli, lub jako guwerner, tułał się po domach szlacheckich. Ale pragnienie wiedzy i zapał do poezyi popchnęły go na pole samouctwa. Wielka pracowitość, zdobyte nią wysokie wykształcenie, nieskazitelność charakteru i zdolności poetyckie, widoczne w jego przekładach poetów starożytnych i francuskich, a później w oryginalnych tragedyach — wszystko to zjednało mu powszechny szacunek i sprawiło, że Czacki, organizując w r. 1807 „gimnazyum wołyńskie“, powierzył mu katedrę literatury polskiej.

W rok po objęciu posady profesorskiej ożenił się Euzebiusz Słowacki z młodszą od niego o lat dwadzieścia, szesnastoletnią panną Salomeą Januszewską, córką zarządcy dóbr liceum krzemienieckiego. Była to osóbka małego wzrostu, nie bardzo piękna, ale nadzwyczaj miła, o dużych, czarnych, pałających oczach, z usposobieniem wrażliwem, wielce romantycznem, a raczej romansowem. Wielką inteligencyą i niezwykłą zdolnością zabawiania najliczniejszego nawet towarzystwa zjednywała sobie powszechną sympatyę. Zresztą w chwili, kiedy została „profesorową“, przedstawiała pani Salomea tylko wdzięczny i podatny materyał, któremu dopiero życie późniejsze miało nadać kształt zdecydowany, wyraźny.

A wypadki życiowe następowały po sobie szybko.

Dnia 4. września 1809 roku urodził się państwu Słowackim syn, któremu na chrzcie z wody — kościelny chrzest odłożono, zwyczajem ówczesnym, na czas późniejszy — dano imię „Juliusz“. W dwa lata później opuszczała pani Salomea Krzemieniec i z ukochanym jedynakiem przenosiła się do Wilna, gdzie Euzebiusz Słowacki rozprawą konkursową zdobył sobie godność profesora uniwersytetu. I znowu, zaledwie trzy lata upłynęły od tej chwili, wróciła „tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną“, wróciła z synem, ale bez męża: ten został na cichym cmentarzn wileńskim na Rossie, zabity nadmierną pracą. Zostawił po sobie społeczeństwu pamięć dzielnego obywatela i żal powszechny, żonie uciułany z trudem kapitalik 70.000 złp., przeznaczony dla niej i dla jedynaka — synowi zaś wątły organizm, zarodki suchot i tę szlachetność serca, której nawet najgorsze wychowanie i najnieodpowiedniejsze warunki życiowe wyplenić nie zdołają.

W ten sposób pięcioletni „Julek“ znalazł się znowu w Krzemieńcu, w małym, sadem i lipami otoczonym dworku babki. Pani Salomea, sama rozpieszczona jedynaczka, która „od dzieciństwa nigdy się nie zajmowała żadną kobiecą pracą“ [2]), rozpieszczała teraz swego jedynaka — rozpieszczali go, jak mogli, dziadkowie... Nie zamęczano go więc zbytnio początkowemi naukami: ćwiczono go przedewszystkiem w języku francuskim, i to tak skutecznie, że już w dzieciństwie władał nim jak rodowity Francuz, i uczono go czytać po polsku na „Bajkach“ Krasickiego. Zresztą dziecko, z natury bardzo inteligentne, rosnąc w otoczeniu starszych, rozwijało się nad wyraz szybko i rozwoju tego nie należało sztucznie przyspieszać.

Tymczazem wrażliwem, czarnookiem chłopięciem zajęła się wcześnie najlepsza mistrzyni-nauczycielka, przyroda. Głucha i niema dla innych, jemu, wybrańcowi swemu, szeptała do uszu najcudowniejsze z baśni, zwierzała najskrytsze swe tajemnice. Wszakże otaczał go „kraj, łąk pełen kwietnych“, wszak przed jego rodzimym domkiem wznosiła się stroma, ruinami starego zamczyska uwieńczona, „góra Bony“, a wokoło niej płynęły „srebrne fale“ Ikwy —

[1]) Por. L. Meyert: Kiedy się urodził J. Słow. Warszawa 1909. str. 29.
[2]) „Pamiętnik J. Słowackiego“, Przegląd polski 1879, I., str. 43.

*

lipy przed domem szumiały mu poważne dumy, pszczoły matczynej pasieki brzęczały w uszy wesołe piosenki — „gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone“ składały mu „całe poematy“, „uczyły go gadać“. A i życie, które go otaczało, nie było pozbawione szczerej poezyi. Ten „dworek ubogi“, któremu „Bogarodzica z ponad starych lip błogosławiła“, a który zawierał w sobie „...jasną cnotę gospodarza“, a zawsze miał „dla nędzy otworzone progi i obwarzanek biały dla nędzarza“, ta wielka, „przyćmiona piekarnia“, w której w święta Bożego Narodzenia „płakała kolęda, w rytmy ubrana najlichsze“ — ci ludzie wszyscy, którzy go otaczali: babka, krzątająca się około domu i gderająca na służbę, dziadek, ubierający się w niedzielę w kontusz, pani Salomea, która wówczas

Ojcu jasny trzyma pas,
A on się w tęczę obwija,
Poważnie się kręcąc wkoło,
Potem ją całuje w czoło
I w złotym pasie wychodzi
Pod lipy...

i służące Magdy, i kaleki Skopki i cały ten świat, którego chłopięca wyobraźnia odczuć i zrozumieć jeszcze nie mogła, ale który zachowywała, głęboko w pamięci uśpiony, aby kiedyś, po latach, obudzić go w sobie, ożywić, przybrać w barwy najczystszej poezyi i stworzyć z niego swe arcydzieła. Teraz ziemia ojczysta, „krwią i mlekiem płynnna“, miała dla niego jedynie swe czarujące, „mleczne“ słodycze — o „krwi“ bohaterskiej, która wsiąkła w jej urodzajne łany, nikt mu nie opowiadał. W otoczeniu Julka Słowackiego nie było Halbana...

Przeciwnie pani Salomea, zepsuta dostatniem i wygodnem życiem, wytrącona nieco z równowagi zażyłością z sąsiednimi domami bogatej szlachty, marzyła tylko o wielkopańskiem życiu i jedynaka swego wychowywała starannie na eleganckiego paniczyka o wytwornych manierach salonowych i dobrym „paryskim akcencie“. Starała się usunąć od niego każdy trud, spełniała wszelkie zachcianki, podziwiała otwarcie jego rozumek i inteligencyę, przyzwyczajała do tego, że jest najważniejszą osobą w domu. Nic więc

dziwnego, że mały „Heli“ — jak go pieszczotliwie nazywano — nabierał pewności siebie i zarozumiałości; gdy w towarzystwie, choćby obcem, nie zwracano na niego należytej uwagi, malec wpadał w niezwykłe rozdrażnienie i starał się jakąś dokuczliwą uwagą przypomnieć swą obecność [1]).

Z tych czasów dochowała się o małym „Julku“ anegdotka, dowodząca, że w tem zepsutem przez otoczenie, rozkapryszonem „książątku“ biło poczciwe serdnszko. Oto nie chciał zjeść ofiarowanego mu przez matkę karmelka, mówiąc, że woli dać go chłopcu, który przychodził się z nim bawić; bo, gdy sam zje, wszystko prędko się skończy, gdy zaś odda cukierek chłopczykowi, „będzie dłużej czuł ukontentowanie“ [2]). W tych dziecięcych słowach zawiera się wyborne określenie altruizmu.

„1817 [3]) r. w sierpniu przyjechał do Krzemieńca profesor Becu w zamiarze ożenienia się z moją matką. Zdecydowali się rodzice (matki), jużto, żeby na przypadek ich śmierci miała opiekuna, jużto dla mojej edukacyi, która w Wilnie mogła daleko lepiej być przedsięwziętą. Trzema dniami przed ślubem dowiedziałem się o tem; myśl wyjazdu do Wilna bardzo mnie ucieszyła. Pamiętam ślub mojej matki o godzinie 9 wieczorem w kościele licealnym; mała liczba przyjaciół była przytomna. Widząc moją matkę płaczącą serdecznie, także płakałem“ [4]).

W tych słowach opisuje Słowacki w swym pamiętniku fakt, który w życiu jego odegrał zasadniczą, decydującą rolę, rolę tak smutną, że owe łzy dziecięce były chyba proroczemi...

Dr. Angust Becu, lekarz-chirurg i profesor hygieny, patologii i „policyi lekarskiej“, t. j. medycyny sądowej, na uniwersytecie wileńskim, był zupełnem przeciwieństwem szlachetnego Euzebiusza Słowackiego. Był to typowy karyerowicz i sybaryta najczystszej krwi, o duszy marnej, bez żadnych uczciwych zasad. Posadę profesora uniwersytetu

[1]) Por. n. p. „Pamiętnik“, Przegląd polski 1879, str. 33.

[2]) Listy Salomei Becu do A. E. Odyńca, wydał L. Méyet. Przewodnik nauk. i literacki 1898, str. 1155.

[3]) P. S. Méyet wykazał na podstawie dokumentów, że stało się to w r. 1818.

[4]) Przegląd polski 1879, str. 32—33.

uważał tylko za źródło dochodów i szczebel w karyerze, połączone z nią obowiązki zbywał lekko; o to, żeby iść z postępem nauki, nie starał się zupełnie, wykłady opuszczał, uczniów zaś starał się ująć sobie uprzejmością przyjacielską, aby bez szemrania wynagradzali jego lenistwo własną pracą. Wobec przybranej ojczyzny (rodzina jego otrzymała w XVIII. w. szlachectwo polskie) nie poczuwał się do obowiązków: był wyznawcą kosmopolityzmu. Nicość duszy pokrywał wykształceniem salonowem (władał kilku językami), niezwykłą ogładą towarzyską i dowcipem. Z panią Salomeą łączyło go zamiłowanie w wystawnem, wielkopańskiem życiu i kult dla form salonowych — poza tem prawdopodobnie nic więcej. Ale poglądy i zasady życiowe są nie mniej zaraźliwe, niż n. p. ospa lub tyfus — więc też nic w tem dziwnego, że młodziutka jeszcze pani Salomea w krótkim czasie upodobniła się do swego drugiego męża.

Dr. Becu miał z pierwszego małżeństwa dwie córki: „piękną jak Pallada“ Aleksandrę i Hersylię. Odyniec, wielki wielbiciel panien Becu, zwłaszcza pny Aleksandry, tak opowiada o dobroczynnym ich wpływie na siebie: „Obie zajęły się niejako (!) kształceniem mnie pod względem światowym. Panna Hersylia oduczała od komplementów, odgadując i kończąc je za mnie, albo też, naśladując żartem ton mojego głosu, dawała mi z lekka poczuć niewłaściwość uniesień w rozmowie, do których w towarzystwach koleżeńskich nawykłem. Panna Aleksandra ze swej strony zwracała szczególniej baczność na moje ułożenie i znajdowanie w salonie, a nawet i na toaletę. Raz naprzykład ułożyła mi sama włosy przed źwierciadłem, twierdząc, że mi tak najlepiej do twarzy; i — kończy z zachwytem głęboki kronikarz epoki wileńskiej — odtąd je całe życie tak noszę“[1]). Innych przymiotów nie umiał w nich odkryć, owszem, stwierdza, że „te drobnottki charakteryzują najlepiej rodzaj stosunku, jaki się między nimi zawiązał“. Widocznie nawet zaślepiony wzrok nie mógł w pannach Becu odkryć innych zalet nad te, których także ich ojcu nie można było odmówić.

---

[1]) „Wspomnienia z przeszłości“ ztr. 172.

Codziennym gościem w domu państwa Becu była głośna później „Laura“ Słowackiego, smutnej pamięci Ludwika Śniadecka, córka znakomitego autora „Teoryi jestestw organicznych“, podówczas jeszcze podlotek. W gronie tych trzech dziewcząt zaczęły teraz przyszłemu twórcy „Króla Ducha“ płynąć miesiące i lata. Wspólnie z panią Salomeą, z którą wkrótce połączyła je szczera, serdeczna przyjaźń, panny Becu rozpieszczały swego przybranego braciszka, uczyły go manier salonowych, trefiły mu bujne, czarne włosy — słowem dostrajały go, jak mogły i o ile to jeszcze było potrzebne, do wielko-pańskiego tonu, który w domu ich wszechwładnie panował.

A w domu tym bywali niebylejacy ludzie. Powiada Odyniec, że p. Becu „żył chętnie w wyższem towarzystwie światowem, niż w gronie profesorskich kolegów“[1]). Co to było za „towarzystwo“, niewiadomo; zdaje się, że jego „wyższość“ polegała jedynie na znacznych dochodach. Częstymi jednak gośćmi bywali u pp. Becu przedewszystkiem obaj bracia Śniadeccy, największe powagi uniwersytetu, dziekan wydziału medycznego, sędziwy Spitznagel i profesor tegoż wydziału Mikołaj Mianowski — nadto zaś Joachim Lelewel, profesor literatury polskiej, Leon Borawski i profesor malarstwa, Jan Rustem. Że takie osobistości, jak Śniadeccy, Lelewel i Borowski mogły zebraniom towarzyskim nadawać ton wyższy, idealniejszy, niemal podniosły, to nie ulega wątpliwości — i oni jednak musieli dostrajać się do zwyczajów i usposobienia gospodarzy. Trudno więc określić dokładnie rodzaj i charakter tych zebrań; bądź co bądź charakterystycznym jest fakt, że czcigodnego Lelewela wyszydzano w domu pp. Becu stale z tego powodu, że... miewał zwykle niezawiązane dokładnie kutasy u trzewików, i nie nazywano go inaczej, jak „kutasy u butów“[2]). Wtedy więc, kiedy młody Mickiewicz wglądał głęboko w duszę uwielbianego profesora i pisał na cześć Lelewela entuzyastyczny pean, państwo Becu uczą małego Słowackiego drwin

[1]) „Wspomnienia z przeszłości“ str. 173.

[2]) W listach Słowackiego do matki i w listach p. Becu do Odyńca jest to stałe przezwisko Lelewela.

ze znakomitego człowieka, i to dlatego, że nie stosował się do wymagań towarzyskich ich „wielkiego świata“...

W r. 1819, kiedy Mickiewicz obejmuje posadę nauczyciela gimnazyum w Kownie, Słowacki zostaje uczniem pierwszej klasy gimnazyum wileńskiego. Zdolności niezwykłe i ambicya czyniły go dobrym uczniem (przechodził zawsze do klas wyższych ze stopniem „celującym“) — dobrym kolegą nie był prawdopodobnie nigdy. Trudno wyobrazić zobie, aby p. Becu pozwoliła swemu eleganckiemu jedynakowi wdawać się z „pospólstwem“, siedzącem z nim w tej samej sali szkolnej. Jakże to fatalnie mogłoby oddziałać na jego maniery! Jakoż w „Godzinie myśli“ Słowacki wyraźnie zaznacza, że „w ciemnej szkolnej sali“ litewskiego grodu siedział „niezmieszany w tłumie“. Jednego tylko miał przyjaciela: starszego od siebie o cztery lata Ludwika Spitznagla. Był to podobno chłopiec niezwykle zdolny, „geniusz w zarodzie“, jak się o nim wyraził Odyniec. Z nadzwyczajną łatwością przyswajał sobie obce języki; jako kilkunastoletni studencik czytał już dzieła w języku greckim, łacińskim, włoskim, francuskim, niemieckim i angielskim, czytał zaś wyłącznie epopeje bohaterskie, rojąc sobie w rozognionej wyobraźni, że i on kiedyś doświadczać będzie podobnych przygód.

Rzecz jasna, że taka przyjaźń nie mogła pozostać bez wybitnego, decydującego wpływu na dziesięcioletniego Słowackiego. Przedewszystkiem spychała go z toru powolnego, normalnego rozwoju na drogę gorączkowych wysiłków, aby dorównać przyjacielowi — z powodu zaś ekscentryczności Szpitznagla wpływała na nienaturalne, nadmierne wybujanie wyobraźni i zwiększała wyhodowaną już tak starannie przez rodzinę zarozumiałość. Teraz stawał się Ludwik Spitznagel siłą faktu na lat kilka kierownikiem duchowego rozwoju swego małego przyjaciela; niestety, nie mógł mu dać tego, czego brakło w otoczeniu najbliższem Słowackiego: ukochania jakiejś prawdziwie wielkiej idei, szukania szczęścia własnego w szczęściu drugich. Losy niezbyt były łaskawe dla autora „Beniowskiego“. Kiedy pierwszy przyjaciel Mickiewicza wskazywał mu jako cel życia „ojczyznę, naukę, cnotę“ i sam świecił mu przykładem niemal bohaterskiego poświęcania się dla tych ideałów, — pierw-

szy przyjaciel Słowackiego marzy o tem, aby zostać... ambasadorem rosyjskim na Wschodzie!

„Godzina myśli“ jest poetyczną historyą tej przyjaźni i rzuca na młode lata Słowackiego wiele światła, przyćmionego, co prawda, łatwo zrozumiałą przesadą, bo wszakże to nie pamiętnik historyczny, lecz poemat. Przedewszystkiem interesuje nas portret „młodszego“ z przyjaciół:

Oba we współzawodnej wykarmieni dumie,
Oba wątłej postaci, marmurowo bladzi.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał;
Pierś mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem,
Włos, na czole dzielony, na ramiona spadał
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem;
Widać, że włos ten, co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.
Ludzie nieraz: „On umrze“ mówili przed matką;
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem — lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i, myśląc o synie,
Nie śmiała wyrzec: „Niech się dzieje wola Boga!“
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Po pięknym obrazku, jak w ustroni ogrodowej „gdzie wiśnie, jak dziewice, w białych wiosny szatach między zarumienione kryły się jabłonie“, dwaj przyjaciele, wziąwszy się w objęcia, „zamieniali słowami uczucia wzajemne“ — następuje charakterystyczne wyznanie:

Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,
Nie rozumiejąc myślą.

Dotyczyło to mistycznych poglądów Swedenborga, w które Spitznagel wprowadzał Słowackiego:

Z dziecinnego piasku
Na księgach Swedenborga budowali gmachy,
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku,
Niebu tytanowemi grożące zamachy.

Uczyli się więc skupiać swą wolę w oczach i siłą wzroku oddziaływać na kogoś z „tłumu“:

... nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła
Którą z klęczących dziewic natrafiwszy losem,
Wołali na nią niemym duszy głosem;
Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła
I pośród ludzi tłumu jej wzrok w zadziwieniu,
Nieobłędnie rzucony, na twarz dzieci padał,
Jak gdyby na wołanie duszy odpowiadał,
Jak gdyby ją po znanem wołali imieniu.

Z tego ruchu umysłowego, który wówczas ogarniał młodsze pokolenie Wilna i który tak świetne miał wydać owoce, Spitznagel uchwycił naturalnie jedynie objawy literackie. Zachęcony przykładem starszych, zaczął rozczytywać się w Byronie, Schillerze i Goethem, a następnie sam zaczął pisać utwory poetyczne. Nie było w nich, co prawda, wiele pierwiastku romantycznego, bo albo naśladował bajki Krasickiego, albo na wzór Tassa pisał epopeję bohaterską o odsieczy Wiednia. Słowacki, który dotychczas zachwycał się tylko Homerem i drzemał nad „Eneidą“, pod wpływem przyjaciela zabiera się do czytania, pochłania „Jerozolimę Wyzwoloną“ w przekładzie Piotra Kochanowskiego i marzy o laurach poetyckich.

Zresztą nie sam Spitznagel był dla niego w tym kierunku podnietą. Z początkiem r. 1821 zaczął w domu pp. Becu bywać Odyniec. Wkrótce stał się tam codziennym gościem, a wraz z nim lub niezależnie od niego zjawiali się często inni poeci i literaci wileńscy. Bywał więc młodziutki Aleksander Chodźko, również codzienny gość i młodszy jeszcze od niego Julian Korsak, poważny Antoni Gorecki, głośny później historyk Karol Sienkiewicz, a wreszcie i Adam Mickiewicz. Na zebraniach tych, zwłaszcza, jeżeli byli obecni tylko młodzi zwolennicy poezyi romantycznej, omawiano każdy wybitniejszy nowy utwór, odczytywano własne wiersze, deklamowano cudze i śpiewano. Pani Salomea, której życie poza przyjmowaniem lub składaniem wizyt upływało tylko na czytaniu poezyi i romansów, oddawała się tym wieczornicom całą duszą — w ten zaś sposób wytwarzała się w jej domu atmosfera, która na młodego Słowackiego musiała działać nader podniecająco. Kiedy w drukarni Zawadzkiego przygotowywano wydanie pierwszych tomików poezyi Mickiewicza, Odyniec, który

prowadził ich korektę, przynosił świeżo złożone poszczególne utwory do salonu p. Becu i odczytywał je głośno; w ten sposób jeszcze przed ukazaniem się ich w handlu ksiegarskim mógł je Słowacki poznać dokładnie. Przejmował się niemi i zachwycał szczerze. Gdy pewnego razu Dr. Becu odczytywał w sposób humorystyczny II. część „Dziadów“ i przesadnem wymawianiem słów „A kysz! A kysz!“ wywoływał serdeczny śmiech zebranych — czternastoletni Julek rozpłakał się z żalu i wstydu [1]). W takich warunkach nie dziw, że bardzo wcześnie zaczął pisać wiersze — kiedy zaś te dziecinne utwory dumna z jedynaka matka pokazała raz Mickiewiczowi, a on nie tylko ich nie wyśmiał, lecz, owszem, chwalił i małemu poecie wielką przyszłość przepowiadał [2]) — wtedy uwielbienie Słowackiego dla autora „Dziadów“ wzróść musiało ogromnie.

Ostudzała te zapały i zmniejszała ów podziw tylko matka. Bo p. Salomea nigdy nie była bezwzględną wielbicielką Mickiewicza, zawsze miała mu wiele do zarzucenia. Twierdziła, że „pomiędzy tysiącem piękności musi zawsze tyleż niepiękności wmieszać“ i zarzucała mu „brak delikatności i smaku“ [3]), „niektóre obrazy i wyrażenia oburzały ją“ [4]); jej zdaniem, Odyniec nie dopuściłby się nigdy podobnych grzechów przeciw dobremu smakowi. Nie pochodziło to bynajmniej z niechęci do kierunku romantycznego — owszem, p. Becu była gorącą jego zwolenniczką; idąc jednak za swem sentymentalno-romansowem usposobieniem, szukała w poezyi przedewszystkiem tych właśnie pierwiastków i im oddawała stanowcze pierwszeństwo. Że z tymi sądami nie kryła się przed „Julkiem“, to wynika z rodzaju jej stosunku do syna. Ale Słowacki nie zrażał się tymi sądami i dwa pierwsze tomiki poezyi Mickiewicza umiał wkrótce po ich wyjściu niemal na pamięć. Fakt, że całe zwroty, całe wiersze nawet z „Ballad i romansów“ znajdują się, jakby żywcem przeniesione, w jego pierw-

---

[1]) Wł. Mickiewicz: Żywot A. Mickiewicza. I., str. 101 i F. Hösick: Życie J. Słowackiego. I., str. 115.

[2]) Listy J. Słowackiego, wydanie L. Meyeta, II., str. 148.

[3]) Przewodnik naukowy i literacki 1898, str. 1275.

[4]) Tamże, str. 823.

szych utworach, że całe ustępy „Grażyny“ zjawiają się w przejrzystej przeróbce w „Mindowem“ — że Słowacki używa w pierwszych latach swej twórczości poprostu słownika Mickiewicza, dowodzi tego niezbicie i nie pozostawia pod tym względem żadnej wątpliwości.

Ale poezya, która już wówczas zaczynała zapełniać mu duszę, nie z samej tylko lektury płynęła. Głębszy i cenniejszy jej pokład pochodził z wrażeń, czerpanych bezpośrednio z przyrody. W tym obfitym materyale wspomnień i przeżyć, które w późniejszych latach przemieniał w klejnoty najczystszej poezyi, Wilno — rzecz dziwna — nie odgrywało prawie żadnej roli, na plan pierwszy zaś wysunął się Krzemieniec i wrażenia wiejskie.

Na wsi bywał dość często. P. Salomea spędzała zawsze lato wśród ciszy i swobody wiejskiej i to, od czasu powrotu do Wilna, w Mickunach nad Wilejką, za czasów zaś pobytu w Krzemieńcu, a niejednokrotnie i później, w Wierzchówce na Podolu. Mickuny należały do p. Balińskiej, siostry Ludwiki Śniadeckiej — nie dziw więc, że Słowacki wspominał o nich później jako o raju swej młodości, że zaś leżały tuż pod Wilnem, o dwie zaledwie wiorsty, więc niewątpliwie bywał tam często nie tylko w czasie wakacyjnym. O wiele jednak ważniejszą rolę odegrała w jego życiu i twórczości Wierzchówka, tam bowiem zetknął się z nieprzejrzaną równiną podolską, od której później, tak samo, jak Malczewski, pożyczał barw do kreślenia niewidzianej nigdy Ukrainy, tu także zbliżył się do ludu ruskiego, słuchał jego pieśni, dum i podań. W „Śnie srebrnym Salomei“ jest ustęp, który najprawdopodobniej zawiera w sobie osobiste wspomnienia Słowackiego z lat młodych, z czasów pobytu w Wierzchówce. Oto w czwartym akcie powiada Regimentarz:

Dawniej to, bywało, dziady,
Szlachectwu dobrze życzące,
Nieraz brano do porady;
I przychodzili zgarbieni,
Zasiadali rzędem w sieni
Lub na dziedzińcu pod drzewem
I tam sobie lirnym śpiewem,
Jak kawki, bywało, gwarzą.

Aż pan dziecko wyszle z groszem,
Z pełnym obwarzanków koszem —
To dziecinę błogosławią,
Obrazkiem nieraz obdarzą,
Albo coś o przodkach prawią,
Dziwne i ciemne powieści,
Co się potem śnią w nocy dziecięciu.

Tak musiały śnić się Słowackiemu i rość do niebywałych rozmiarów w rozognionej wyobraźni czyny Sawy-Calińskiego i cudowne opowieści o tajemniczym Wernyhorze, o jego przepowiedniach, niemal proroctwach, nawet o losach jego pośmiertnych. Te wieśniacze opowiadania nie tylko będą długo zajmowały autora „Snu Srebrnego", tworząc kanwę dla jego pomysłów poetyckich, ale za jego pośrednictwem odezwą się jeszcze po wielu, wielu latach silnem echem w „Weselu" Wyspiańskiego. Słowacki poznał pieśni ludu ruskiego dobrze, chociaż języka jego nigdy dokładnie nie umiał. W „Pamiętniku" swym wspomina, że, kiedy zwiedzał Tulczyn, „mimowolnie duma ludu, przeklinająca Potockiego, sisnęła się mu na usta"[1]) — a wszakże pieśń ta nie należy wcale do najpopularniejszych. Była, co prawda, jeszcze inna droga, którą pieśni ludowe dochodziły do Słowackiego — o niej jednak wspomniemy później.

Kiedy „Julek" był w piątej klasie, rozgrywał się właśnie w Wilnie jeden z tych dramatów, które w najwyższym stopniu miały wpłynąć na rozbudzenie i odrodzenie ducha narodowego — proces filarecki. Senator Nowosilcow, który w celu usunięcia potężnego wpływu Czartoryskiego szukał „śladu dowodów, cienia śladów, choćby cieniów cienia", znalazł je w tajnych związkach młodzieży wileńskiej — więc starał się rozdmuchać je do możliwie największych rozmiarów. Z całą wrodzoną sobie nikczemnością i z całą przebiegłością wschodniego dyplomaty zabrał się do prowadzenia śledztwa, które miało nie prawdziwy stan rzeczy na jaśń wywieść, lecz tylko powiększyć jak najbardziej liczbę ofiar i upozorować wydanie surowego wyroku na „zdrajców stanu". Rozpoczęły się rewizye i aresztowania. Kla-

[1]) Przegląd polski 1879, I., str. 38.

sztory wileńskie zamieniono w więzienia i zapełniono je nieletnimi zbrodniarzami, którzy ośmielili się myśleć o tem, że ojczyźnie swej powinni służyć „nauką i cnotą“. Wszystko, co było szlachetniejszego pośród młodzieży uniwersyteckiej ostatnich lat kilku, z Zanem, Mickiewiczem i Czeczotem na czele, znalazło się w więzieniu.

Słowacki znał naturalnie wszystkie te fakty dokładnie. Wszakże niemal w jego oczach rozegrał się prolog do filareckiego dramatu, kiedy trzech starszych jego kolegów za napisanie na tablicy niewinnego wykrzykniku na cześć konstytucyi Trzeciego Maja zasłano „w sołdaty“ — wszak to jego właśnie korepetytor, następca Błotnickiego, Massalski, był moralnym sprawcą procesu, bo jego papiery były podstawą do rozpoczęcia śledztwa. Wreszcie Wilno całe przejęte było do głębi tą sprawą i o niczem niemal innem nie mówiło. Fakty więc znał niewątpliwie — ale w jakiem oświetleniu? Aby to zrozumieć i dojść do wniosków prawdziwych, trzeba naprzód jasno sobie uświadomić, że, mając piętnasty rok, nie patrzy się na tego rodzaju sprawy okiem własnem, lecz oczyma otoczenia — i że pomimo całej genialności Słowackiego pogląd jego na proces filarecki nie mógł być wówczas indywidualnym, oryignalnym, lecz musiał być co najwyżej kombinacyą usłyszanych zdań i sądów. Ludwika Spitznagla, który mógł tu mieć wpływ decydujący, nie było podówczas w Wilnie: bawił w Petersburgu jako uczeń akademii oryentalnej; z kolegami swymi „niezmieszany z tłumem“ Słowacki nie utrzymywał blższych stosunków — pozostawało więc jedynie otoczenie najbliższe, rodzina.

Prof. Becu od chwili rozpoczęcia śledztwa znajdował się pośród najbliższych popleczników Nowosilcowa. Obrońcy jego twierdzą, że uczynił to jedynie z wyrachowania, że pragnął od potężnego senatora uzyskać pochlebstwami uwolnienie od służby z dożywotną pensyą, ale denuncyantem nie był. Przyjmijmy to jako fakt, bo nie chodzi tu przecież o wydawanie potępiającego lub uniewinniającego wyroku. Następstwem jednak tego faktu musiało być usprawiedliwianie postępowania Nowosilcowa, a przedstawiania oskarzonej młodzieży w świetle o ile możności najgorszem. Bo jasnem jest przecież, że dr. Becu nie przyznałby się do

tego, iż katowi niewinnej młodzieży nadskakuje dlatego, aby się uwolnić od pracy.

A jego żona?

W jednej z swych przedziwnych nowel opowiada Żeromski o kobiecie, która od spodlonego związkiem z wrogami męża ucieka z gromadką dzieci na niehybną nędzę i tułaczkę. Pani Becu nie należała dó ludzi, patrzących na życie tak tragicznie. Stanowisko męża nie wywoływało w niej ani cząsteczki tych uczuć, w jakie nas myśl o niem wprawia, i nie zawichrzyło ani na chwilę spokojnej, sybaryckiej atmosfery domowej. Jeżeli pomiędzy zapatrywaniami jej i dra Becu były kiedykolwiek jakie różnice, to kilka lat pożycia wspólnego wyrównało je zupełnie i lada drobnostka nie zdołałaby tej harmonii zakłócić. Zwłaszcza zaś nie uznawała p. Salomea tego przesadnego nacisku jaki niektórzy zapaleńcy kładli na sprawę narodową. Cóż może na tem zależeć, jakiego kto jest pochodzenia i jakich zapatrywań? Czyż nie wszystkich stworzył ten sam Pan Bóg? Byle dany człowiek był miłym, wesołym, dowcipnym, byle w towarzystwie jego czas zbiegał przyjemnie. Wszak to życie tak krótkie...

Tak przedstawia się matka Słowackiego czytelnikowi jej listów do A. E. Odyńca. Jest to raczej dzienniczek, w którym przez lat kilka codziennie niemal notowała swoje stany uczuciowe i ważniejsze fakty z życia rodzinnego i towarzyskiego, to jest z całego tego zakresu zdarzeń wewnętrznych i zewnętrznych, który dla niej istniał. Zapatrywań swoich tam nie określa, ale te zapatrywania z przerażającą dokładnością i jaskrawością powstają z tych drobnych notatek przed oczyma czytelnika, jak z małych kamyczków powstaje mozajka.

Raz tylko jeden jest w listach p. Becu mowa o sprawie filareckiej, i to tylko pośrednio. W r. 1828, gdy p. Salomea przeniosła się już była z Wilna do domu rodziców, do Krzemieńca, złożył jej wizytę Franciszek Mickiewicz, brat poety, profesor prawa w liceum krzemienieckiem. W rozmowie poruszył sprawę „prześladowania Litwinów“ (!), jak opowiada p. Becu, czyli raczej prześladowania żywiołu polskiego na Litwie, które od czasu procesu Filaretów bynajmniej nie ustawało. Ten temat, dla każdego Polaka tak

tragiczny, wywołał w p. Salomei wielką... wesołość. „Pomiarkowałam się jednakże — pisze matka Słowackiego — zarzucałam sobie niewdzięczność, mówiłam, że Litwę i Litwinów (!) lubię i tęsknię po nich, bo w istocie tak jest, ale wątpię, aby mi to co pomogło w umyśle Mickiewicza i bodaj, żem niedobrą impresyą na nim zrobiła" [1]). Ta wzmianka, świadcząca, że bystra zawsze p. Becu nie rozumiała nawet dobrze sprawy, o którą chodziło, jest tem bardziej charakterystyczną, że w stosach obszernych listów sama jedna jest świadectwem przynależności duchowej swej autorki, poza nią bowiem w całej tej korespndencyi z byłym Filaretą nigdzie nie znajdziemy nawet wyrazu „Polska", „ojczyzna" lub choćby „społeczeństwo [2]) O wiele dobitniejszy jest jednak fakt, że właśnie w czasie procesu filareckiego pani Salomea wchodzi w ścisłą, zażyłą przyjaźń z rektorem Pelikanem, który jako prezes komisyi śledczej tak umiejętnie dopomagał Nowosilcowowi w prześladowaniu młodzieży i tak wybitnie zaznaczył swe rusyfikatorskie tendencye, że wysłużył sobie godność rektora przeznaczonego na ruinę uniwersytetu. Mickiewicz scharakteryzował go dobitnie, a podobno wiernie, policzkiem, który Pelikan wymierza ks. Piotrowi za to, że do senatora odważył się powiedzieć: „ty"; koledzy odsunęli się od niego z pogardą, Wilno całe nienawidziło go tak, że musiał dom swój strażą otoczyć, a w końcu kijami wypędziło go do Petersburga [3]) — ale to wszystko nie przeszkadzało p. Salomei żyć z nim i jego żoną, mającą za sobą trochę mętną przeszłość, na stopie najserdeczniejszej przyjaźni i w listach do Odyńca hymny pochwalne na cześć jego wypisywać.

Zdaje się, że pani Becu dostąpiła dzięki Pelikanowi niezwykłego zaszczytu: poznała osobiście senatora Nowo-

---

[1]) Przewodnik naukowy i literacki 1898 str. 1277. Trzeba zauważyć, że w tem opowiadaniu fakt jest najprawdopodobniej złagodzony; p. Becu idzie widocznie o to, aby z góry przygotować przychylny sąd Odyńca na wypadek, gdyby o tej rozmowie dowiedział się od Fr. Mickiewiaza.

[2]) Raz jeden powiada p. Becu o sobie: „jako Polka", ale w znaczeniu zupełnie banalnem, przy sposobności salonowego komplementu.

[3]) Pamiętniki Stanisława Jandziłła cyt. w Wł. Mickiewicza życiorysie A. Mickiewicza t. I. str. 146.

silcowa; podczas jednego z balów, na którym p. Becu być nie mogła, Nowosilcow — jak czytamy w liście do Odyńca — „był tak grzeczny, że pytał się o nią“[1]). Wniosek stąd prosty, że musiał znać ją osobiście.

Wśród takich stosunków, słysząc takie poglądy i obracając się wśród takich ludzi nie mógł młody Słowacki przejąć się procesem filareckim, nie mógł odczuć tego bolu głębokiego, którym on musiał każde szczere polskie serce wstrząsnąć. Fakt, który mógł być epokowym w jego życiu, który mógł, jak błyskawica, oświecić mu nagle wielkie ideały i powieść go ku nim, minął skutkiem warunków jego życia bez śladu.

W tym samym miesiącu, w którym ogłoszono wyrok w procesie filareckim, nim jeszcze skazanych zdołano wysłać na miejsce wygnania — dnia 26. września 1824 roku zmarł nagle prof. Becu, rażony piorunem, Wypadek ten, który w późniejszych losach Słowackiego miał odegrać znaczną rolę, na razie nie wywołał ważniejszych zmian wżyciu p. Salomei i jej otoczenia. Dzięki wpływowi Nowosilcowa otrzymała wdowa dożywotnią pensyę taką samą, jaką pobierał jej mąż (2000 rubli) — ponieważ zaś pobierała takż pensyę po pierwszym swym mężu, a prof. Becu pozostawił nadto pokaźny majątek, więc wszystko to, wraz z pozostałą po Euzebiuszu Słowackim sumką, dawało w owych czasach podstawę do życia wprost wykwintnego[2]).

Jakoż już wkrótce po tragicznej śmierci ojczyma Słowackiego płynęło to życie wartkiem prądem dalej — po dawnemu rozbawione, płytkie, próżniacze.

Czas przyniósł jednak ze sobą pewne zmiany.

Przedewszystkiem zmieniła się pani Salomea. „Ciągle trwająca słabość — powiada w „Pamiętniku“ swym Słowacki — osłabiwszy jej fizyczne siły, dała nad niemi prze-

---

[1]) Przewodnik n. i lit. str. 1159.

[2]) Por. Małeckiego „J. Słowacki“ Lwów, 1901, I. str. 24 i Hoesicka ‚Życie J. St.“ Cz. I. str. 140. — Jeżeli majątek, pozostały po dr. Becu, wynosił tylko tyle, co uciułany przez E. Słowackiego fundusik to roczne dochody p. Salomei wynosiły wraz z pensyą wdowią przynajmniej 10.000 koron (4000 rubli) — w owych czasach zaś było to suma bardzo znaczna.

wagę imaginacyi, karmionej ciągle czytanemi romansami“ [1]). Spotęgowało się w ten sposób jej romantyczne rozmarzenie, wzrosła chciwość wrażeń sentymentalnych, którym poddawała się tak zupełnie, że żyła niemal wyłącznie w krainie wyobraźni, odpychając od siebie świat realny i zasłaniając go sobie marzeniami. Na zewnątrz, dla otoczenia, stan ten objawiał się w ciągłych wybuchach płaczu. Pani Salomea płakała godzinami, siedząc w oknie i patrząc na ulubioną swą tarczę księżyca — płakała, myśląc o umierającym w Taganrogu cesarzu Aleksandrze — płakała, myśląc, że była szczęśliwa, i myśląc, że już zapewne szczęśliwą nie będzie — słowem przy każdej niemal sposobności wylewała obfite łzy. W listach jej do Odyńca na każdej prawie stronie jest mowa o tych wybuchach płaczu. „Przez cały spacer — pisze n. p. Salomea dn. 28. września 1826 r. — tak byłam zajęta (ślicznem) powietrzem, że zdawało (mi) się, że już jestem na drodze do Giejsztun, ale, wjeżdżając (!) do bramy zamkowej, znikła iluzya. Tak mi się dało uczuć oczywiste niepodobieństwo, żem się rozpłakała, i jużbym była cały wieczór płakała, ale na szczęście przyszedł kadryl sąsiadów na herbatę, potem Kukolnikowie — rozruszałam się trochę“ [2]).

To usposobienie chorobliwe p. Becu dawało się we znaki wszystkim, a najbardziej wrażliwemu Słowackiemu [3]). W r. 1825 ukończył on gimnazyum i zapisał się na uniwersytet. Naturalnie nęcił go wydział filozoficzny — ale matka nie zgodziła się na to. Dla swego wypieszczonego jedynaka wymarzyła ona sobie „wysoki stopień hierarchii cywilnej“ — że zaś do zrobienia „karyery cywilnej“ potrzebne było ukończenie wydziału prawniczego, więc Słowacki, „dla dogodzenia matce“ na ten wydział się zapisał [4]). Prace uniwersyteckie były mu, jak sam przyznaje [5]) „bardzo lekkie“, więc też wraz z otoczeniem swem używał życia, chodząc z balu na bal,

[1]) Przegląd polski, 1879, I. str. 42.
[2]) Przewodnik naukowy i literacki, 1898, str. 265.
[3]) Przegląd polski, l. c.
[4]) Tamże, str. 44 i 45.
[5]) Tamże, str. 43.

z zabawy na zabawę. A według określenia p. Salomei karnawał ich obejmował także adwent i wielki post... [1]).

Otoczenie zmieniło się także. Mickiewicz był na wygnaniu, Odyniec i Lelewel w Warszawie; ścisłe stosunki z obu Śniadeckimi oziębły, a na pierwsze miejsce pośród znajomych przyjaciół wysunęli się Pelikanowie. Wprawdzie całe Wilno gardziło Pelikanem otwarcie i wprost nienawiścią otaczało tę kreaturę Nowosilcowa, tego denuncyanta, który hańbił godność rektora, trwonił fundusz naukowy, dom swój zamienił w jaskinię szulerstwa i kazał u żony swej kupować drogimi podarunkami promocye uniwersyteckie [2]) — pani Salomea jednak nie zważała na te drobnostki. Stosunki jej z Pelikanami zacieśniały się z dniem każdym; nie było imienin w domu Pelikanów — tych osławionych w Wilnie imienin, dostarczających rektorowi pretekstu do odbierania podarunków — na których nie zjawiałaby się pani Salomea z rodziną lub przynajmniej nie wysłała na nie „dzieci“, nie było ważniejszej sposobności, przy którejby Pelikanowie nie odwiedzili domu p. Becu. Wkrótce stali się codziennymi gośćmi, niemal domownikami, i najszczerszymi przyjaciółmi matki Słowackiego. „On nam wiele dobrego wszystkim robi“ — tłumaczy się p. Salomea z tej zażyłości przed Odyńcem. Istotnie, u Pelikanów było niemało sposobności do zabawy: żyli rozrzutnie, wystawnie, urządzali przyjęcia i bale, na których nie brakło najwyższych dygnitarzy rosyjskich. „Dzieci“ miały sposobność do miłych rozrywek... „Przedwczoraj — pisze p. Becu dn. 18. listopada 1826 r. — pojechały dzieci do Pelikanów na wieczór, gdzie się nie bardzo dobrze bawiły, bo nie tańcowano. Był to wieczór, dawany dla jakiejś jenerałowej rosyjskiej Ulrich“ [3]).

Częściej bawiono się dobrze. „Wczoraj — czytamy w listach p. Salomei pod datą 10. kwietnia 1827 r. — Hornowie [4]) dawali wielki bal dla Nowosilcowa; świetne było

---

[1]) Przewodnik naukowy i literacki, 1898, str. 1038.

[2]) „Obrazy litewskie ze wspomnień tułacza Sobarri“ str. 127 i n. c. w Wł. Mickiewicza „Ż. A. M.“ I. str. 140.

[3]) Przewodnik naukowy i literacki, str. 611.

[4]) Horn, ówczesny gubernator wileński.

zgromadzenie, dzieci były prześlicznie ubrane. Julek był także, ale miał trzewiki ciasne i nie tańczył. Bawiono się dobrze i do 2-giej godziny w nocy. Nowosilcow rozmawiał z wszystkiemi damami i tak był grzeczny, że nawet o mnie pytał się Olesi. Dzieci kontente z balu, ja cały dzień wczorajszy byłam zajęta strojeniem dzieci i dziś mi miło, że im ładnie było i dobrze"[1]). Jeszcze większej radości i dumy doznawała prawdopodobnie p. Becu, gdy dzięki uprzejmości Pelikana mogła na czas pewien zamieszkać w apartamentach Nowosilcowa, przebywającego podówczas w Słonimie, i rozkoszować się wspaniałością salonów, w których obmyślano środki zgnębienia polskości na Litwie i w których tyle zrozpaczonych Polek żebrało bezskutecznie u „wielkiego zwycięzcy nad dziatwą" litości dla swych niewinnie cierpiących synów.

Przyjażń z Pelikanami wprowadziła do najbliższego otoczenia p. Becu cały szereg postaci, które nowemu rektorowi oddane były całą duszą i pomocne w jego zaszczytnej, przez Nowosilcowa poruczonej, misyi. Przedewszystkiem więc bywał wraz z żoną Paweł Kukolnik, który po usunięciu „buntowniczego" Lelewela otrzymał, jako zupełnie „pewny" człowiek, katedrę historyi na uniwersytecie; wykładał w języku rosyjskim, podobno niesłychanie licho. Dalej, podobny do niego z charakteru brat jego Platon, nazywany przez p. Salomeę „eleganckim Platonem, i adjunkt uniwersytetu, wykładający literaturę francuską, Jan de Neve. „To człowiek taki do rzeczy, światowy i z dobrego towarzystwa" [2]) zachwycała się nim p. Salomea; fakt, że ten światowiec był poplecznikiem Bajkowa i Nowosilcowa, nie wchodził naturalnie w rachubę.

Pani Becu obracała się wraz więc z „dziećmi" w tej właśnie sferze, w tej gromadce ludzi, która z całą bezwzględnością gnębiła i starała się zdusić w zarodku każdy objaw patryotycznej myśli polskiej i, nie cofając się przed żadnymi środkami, żelazną ręką przeprowadzała rusyfikacyę Litwy. Jak serdeczne stosunki łączyły matkę Słowackiego z tymi ludźmi, dowodem fakt, że, kiedy zdecydowano się nareszcie

[1]) Tamże str. 1159.
[2]) Tamże str. 151.

ochrzcić uroczyście „Julka“ i pn. Hersylię, dotychczas tylko „z wody“ ochrzczonych, nie znaleziono nikogo, zasługującego bardziej na godność chrzestnych rodziców, niż Pelikanowie. Pelikan więc i jego osławiona żona zostali chrzestnymi rodzicami Juliusza Słowackiego[1]). Stało się to dnia 21. maja 1827 roku. Słowacki otrzymał na chrzcie imiona: Juliusz Władysław, w dwa dni zaś później przybrał sobie na bierzmowaniu dwa następne: Wacław Zygmunt[2]).

Wśród takich stosunków, w takiem otoczeniu dojrzewał młodociany duch autora „Beniowskiego“...

Jedynie chwile podnioślejsze, jakie danem było przeżywać Słowackiemu wśród tych fatalnych dla jego rozwoju warunków, były to wieczory, poświęcone muzyce. Pani Salomea była bardzo muzykalną, że zaś umiała dogadzać swoim upodobaniom, więc dom jej rozbrzmiewał bardzo często dźwiękami fortepianu, skrzypiec i spiewem. W usposobieniu jej łączył się chorobliwy sentymentalizm z żywością i wesołością i stąd zapewne wynikało niezwykłe jej zamiłowanie w pieśniach ludowych, zwłaszcza w dumkach ukraińskich i smętnych melodyach rosyjskich. Znała ich wiele, lecz zawsze łaknęła nowych; uczyła się ich, gdzie i od kogo mogła, sprowadzała nuty[3]) — a potem rozkoszowała się niemi, spiewając je i akompaniując sobie na fortepianie. Pomagały jej w tem obie pasierbice, a zwłaszcza pn. Aleksandra, obdarzona podobno prześlicznym głosem, często zaś zapraszano do współudziału gości i tworzono udatne wieczory muzyczne. Ignacy Drzewiecki, nauczyciel matematyki przy gimnazyum wileńskiem, dobry skrzypek, i Paweł Kukolnik, który na fortepianie grał dobrze i często improwizował waryacye na temat pieśni rosyjskich — to byli zwykli uczestnicy tych koncertów. Słowacki nie brał w nich udziału czynnego, bo, jak wyjaśniała p. Salomea, „nie miał głosu“, na fortepianie zaś nie grał zbyt biegle — ale przysłuchiwał się im z rosnącem ciągle zamiłowaniem i gromadził w ten sposób w duszy swejskarby, z których wartości podówczas nie zdawał sobie jeszcze zupełnie sprawy.

---

1) Tamże, str. 1162.
2) Tamże, str. 1240.
3) Tamże, str. 1271 i i.

Posłuchajmy, jak p. Becu opisuje przebieg jednego z tych wieczorów.

„Siadłam do fortepianu. Julkowi się podobała aryjka: „Ty mi dałaś serce twoje“. Śpiewałam mu ją długo — pocałował mnie za to. Po siódmej przyszedł ze skrzypcami Drzewiecki, grał z dziećmi do 10-tej. Ja sobie siedziałam w swojem oknie i czatowałam na księżyc, który tak, jak wczoraj, walczył z chmurami, aby ku mnie rzucić wzrokiem. Mileśmy na siebie spoglądali, miło nam było. Grali nam ładnie, nikogo więcej nie było, *point de conversation*, co za rozkosz! Julek przez cały wieczór siedział na drugiej sofce i dumał także. Przy końcu dzieci śpiewały nowe, nieznane jeszcze Julkowi, duety, arye. Zachwycony był tą aryą, co Jasia wiersze podłożyliśmy: „Ach, cóż się ze mną stało!“ I Julek zaczyna być entuzyastą muzyki. Bardzo się zmienił, smutny i cierpi — i ja cierpię, patrząc na niego; lekam się o jego zdrowie. Ale może mu to przejdzie — przynajmniej będę się starać osładzać mu, jak można. Będę z nim o tem gadać, to mu lżej będzie, niż jak gdyby był zostawiony samemu sobie“ [1]).

Powodem tego przygnębienia, o którem wspomina p. Becu, było to, że „dziecko z czarnemi oczyma poznało miłość“. Było to uczucie dziwne, niezwykłe. Wprawdzie Słowacki rozwijał się intelektualnie nader szybko i wiedział o tem aż nadto dobrze, że nie jest zwykłym studencikiem; „już wtenczas miałem siebie za słusznego człowieka, a inni mię za dziecko uważali“ powiada o tych czasach w jednym z listów do matki; — wprawdzie atmosfera domu, gdzie zakochani byli wszyscy, — począwszy od wzdychającej do młodziutkiego Odyńca p. Salomei, aż do zjawiającej się na przyjęciach wieczornych młodzieży, tłumaczy bardzo wiele, więc można się nie dziwić, że Słowacki, mając lat 17, oświadczył się zupełnie formalnie starszej od siebie o lat kilka Ludwice Śniadeckiej, przyjaciółce przybranych jego sióstr i towarzyszce zabaw dziecinnych. Odyniec widział w tem wyznaniu objaw „pychy nad lata“ [2]) — ale, pominąwszy złośliwą przesadę, która tkwi w tem wyrażaniu, nie można

[1]) Przewodnik n. i liter. 1898, str. 53, list z d. 1. września 1826.
[2]) „Wspomnienia z przeszłości“ str. 179.

zaprzeczyć, że bądź co bądź była w tem jakaś męska duma, jakaś szlachetna szczerość, która szacunek budzi.

Uczucia podobne powstają w tym wieku w innych warunkach i miewają żywot motyli. Miłość Słowackiego była już w zarodku beznadziejnie smutna, bo nie mogła liczyć nawet na pozory wzajemności: Ludwika Śniadecka całą swą namiętną duszę oddała oficerowi rosyjskiemu, Korsakowowi, synowi jenerał-gubernatora wileńskiego. Więc też

....dusza dziecięcia, jako karta biała,
Czerniła się n a w i e k i miłością daremną.

Istotnie: na wieki. Ta nieszczęśliwa miłość była jedyną w życiu Słowackiego. „Przebiegłszy świat, kochał jedną“ — wszystkie inne uczucia przelotne były i „świeciły, jako próchna“. Po kilkunastu jeszcze latach, kiedy geniusz jego dochodził niemal do szczytu a życie zaczynało się chylić ku schyłkowi, pisał z szczerością i prawdą rzetelną, zwracając się do „kochanki pierwszych dni“:

Twój czar nademną trwa. — O, ileż razy
Na skałach i nad morzami bez końca
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy
A miłość twoją miałem na kształt słońca
W pamięci mojej! Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał, a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła....

Czy Ludwika Śniadecka zasługiwała na tak szlachetną, czystą, podniosłą miłość? Czy godna była tego, aby jej obraz unosił się przez dziesiątki lat przed oczyma autora „Króla Ducha“, smętkiem go napawał i od czary życia odpychał? Trudno na to odpowiedzieć. W latach późniejszych nie zasługiwała na to bezwarunkowo i sam Słowacki musiał wreszcie uczucia swe dawniejsze zmienić w cichą pogardę — ale w młodości swej była niewątpliwie niezwykłą, niecodzienną osobą. Była wysoce wykształconą, tak, że wiedzą i inteligencyą przewyższała p. Becu i siostrę swą starszą, p. Balińską, które Odyniec nazywa „najświatlejszymi i najlotniejszymi umysłami społeczeństwa wileńskiego“ —

zamiłowana w poezyi, sama próbowała w niej sił swoich, pisząc po polsku i po francusku; tkliwa, o wyobraźni ruchliwej, trochę przesadna i na ton byroniczny nastrojona — z postawy zewnętrznej „odznaczała się typem wschodnim, na wzór jakiejś Greczynki czy Arabki“. Młodemu „Julkowi“ okazywała zawsze wiele sympatyi, później zaś, gdy spostrzegła, że wznieciła w nim silne uczucie, nie umiała czy nie chciała pohamować go — zaczęła się nim bawić. Świadczy o tem wymownie akt pierwszy „Kordyana“, świadczy także poetyczna spowiedź Słowackiego w „Godzinie myśli“, gdzie Ludwika Śniadecka w postaci „dziewicy-anioła“ kładła w duszę „dziecka z czarnemi oczyma“

marzeń i myśli tysiące,
A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,
Że, we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki,
Podobne do miłości zeznanej wyrazu.

Więc, gdy zawiodło się, gdy na szczere wyznanie uczuć usłyszało odpowiedź cierpką, może szydercza, wtedy

bladą twarzą upadło do ziemi,
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące,

Bo to dziecko

miało dumę, wielkiego człowieka
Przeczuciem nakarmioną....

Miłość do Ludwiki Śniadeckiej ważna jest w życiu Słowackiego nie jako ciekawy romantyczny epizod, lecz jako motyw psychologiczny, który ma zasadniczy wpływ na ukształtowanie się jego pojęć i charakteru. Zrażony i dotknięty w swej młodzieńczej dumie, traci ufność do ludzi, zamyka się w sobie i „wszystkie czucia skarby ognistej wyobraźni rzuca na pożarcie“. On, którego dumę, podsycała nieustannie rodzina, którego już wtedy matka porównywała z Byronem[1]) — usuwa się teraz od ludzi, staje się dla nich zgryźliwym, ironicznym i zaczyna żyć życiem

[1]) Przewodnik n. i lit. 1898 str. 1156.

wewnętrznem, rozmyślaniem i marzeniami. To „dziecię, bolem uczuć złamane przedwcześnie“,

ludzi chroniło się tłumu
I biegło w ciemne lasy — tam na dzikie wrzosy
Kładło się bladą twarzą sosn słuchając szumu,
Tam, uśpionemu myślą, wiatr rozwiewał włosy,
A myśli rosły, wielkie, ciemne, tajemnicze,
Jak gwiazdy, ogromnymi płynące obroty.

W „Pamiętniku“ swym powiada Słowacki, że on, dotychczas „egzaltowanie religijny“ wówczas „zaczynał tracić wiarę“. Znając jego późniejsze przekonania i wierzenia religijne, nie trudno odgadnąć, na czem polegała ta ówczesna „utrata wiary“, która w rzeczywistości nie nastąpiła nigdy; oto zaczynał odrzucać od zasadniczej treści religii zohydzające ją naleciałości i zabobony, zaczynał zapewne drwić z dewotek, rozróżniać istotę rzeczy od jej pozorów — słowem, wstępował na drogę, po której dojdzie później do tego wspaniałego określenia bóstwa, które „nie jest Bogiem robaków i tego stworzenia, co pełza“. Jednem słowem — pod wpływem uczucia do Ludwiki Śniadeckiej, Słowacki zaczynał powoli posuwać się naprzód, oddzielać się od banalnego, płaskiego otoczenia i róść w sobie.

Gdyby w tej przełomowej chwili zjawił się był przed nim jakiś drugi Zan i wprowadził w krainę ideałów i poświęceń — jakże innym zupełnie torem potoczyłoby się jego życie!

Tymczasem zjawił się tylko Ludwik Spitznagel, który, po świetnem ukończeniu studyów w Petersburgu mianowany dragomanem ambasady rosyjskiej w Aleksandryi, w drodze do Egiptu zatrzymał się na czas krótki w Wilnie. Nie długo cieszył się Słowacki przyjacielem. Egzaltowany chłopak tuż przed terminem wyjazdu na Wschód z błahego powodu odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu.

Rozterka duchowa Słowackiego zwiększyła się jeszcze bardziej.

Wśród takich warunków powstają pierwsze znane nam utwory Słowackiego. Główną pobudką do nich były dwa znakomite dzieła. które właśnie wówczas, prawie bez-

pośrednio po sobie się ukazały: „Marya“ Malczewskiego (1825) i „Sonety“ Mickiewicza (1826).

Malczewskiego cenił Słowacki zawsze bardzo wysoko. W „Beniowskim“ nazywa go „wieszczem“, podziwia jego „tęsknotę, co jest w ludziacg pół-aniołach“ — w przedmowie do „Wacława“ przyznaje, że tematu tego „pióro poety tknąć się nie powinno“ — słowem ma dla niego nadzwyczajny szacunek. „Maryę“ znał tak dokładnie, że nawet jeszcze w okresie mistycyzmu, a więc wtedy, gdy jest zupełnie samodzielnym i gdy wpływy obce należą do niezwykłych już rzadkości, powtarza w swych utworach dosłownie całe zwroty, całe obrazy z tego poematu. Zrozumieć i ocenić należycie to arcydzieło mógł dopiero w okresie dojrzałości — ale już w dzieciństwie zajęło go ono niezwykle poetycznością fabuły i obrazami życia ukraińskiego. Wszak on ten krajobraz stepowy znał już w przybliżeniu z Wierzchówki, wszak w znanych mu podaniach i pieśniach bohaterami byli także Kozacy a tłem step ukraiński! Więc z tego materyału można tworzyć takie arcydzieła! Trzeba spróbować!...

Ale jędrna nad wyraz i subtelna budowa „Maryi“ nie mogła być wzorem formy dla siedmnastoletniego chłopca — wzór ten zatem bierze z innego utworu, który także o napadach tatarskich prawił o akcyę swą na „łanach Podola“ umieszczał — z „Giermka“ Morawskiego. Z niego przejmuje formę i całą garść obrazów, z „Maryi“ Kozaka, pędzącego przez step „do swej miłej“, wciska to w błahą fabułę o Runku Kozaku, któremu Tatarzy porywają w jasyr ukochaną Hankę i który tonie potem w Dnieprze, ubiera to wszystko w rozlewność znanych sobie dumek ludowych — i tak powstaje „Duma ukraińska“. Pracował nad nią długo. Pierwszy szkic powstał — jak świadczy data na autografie [1]) — „26. augusta 1826“, a jeszcze przy końcu stycznia następnego roku czytamy w liście p. Becu do Odyńca o gładzeniu i wykańczaniu tego utworu [2]) i o tem, że „Julek“, pomimo

---

[1]) Dzieła J. Słowackiego. Pierwsze krytyczne wydanie zbiorowe. Tom I. Wydał dr. Br. Gubrynowicz. Lwów, 1909, str. 8 i 297.

[2]) Przewodnik n. i liter. 1898, str. 825 i in.

namowy p. Salomei, nie może odważyć się na posłanie tego wiersza Odyńcowi, który go miał drukiem ogłosić.

Nie trwalsze, ale na razie o wiele potężniejsze wrażenie, niż „Marya“, wywołały w Słowackim „Sonety“ Mickiewicza. Zrozumieć to łatwo: „Marya“ rozmarzala go i przypominała dawne wrażenia wakacyjne — „Sonety“ treścią swą harmonizowały niezmiernie ściśle z jego ówczesnemi myślami i troskami, dawały im znakomity, wytworny wyraz, formą zaś wprawiały młodego estetę w zachwyt. Więc też natychmiast prawie po przeczytaniu tego nowego dziełka Mickiewicza zaczyna Słowacki gorączkowo iść jego torem i łamać się z trudną formą sonetu. Ludwika Śniadecka zostaje „Laurą“, „lubą“ albo „aniołem“ swawolny zmienia się w żałosne skargi, w jakąś beznadziejność, w jakąś dziwną, bo niemał proroczą pewność, że młody poeta szczęścia nigdy nie zazna i że kiedyś, po latach „serce chwil przeszłości z rozpaczą zawoła“.

Forma tych pięciu sonetów, poświęconych Ludwice Śniadeckiej, jest ściśle, ale nadzwyczaj zgrabnie naśladowaną z Mickiewicza. Weźmy n. p. pod uwagę najwyraźniejszą analogię.

W „ciszy morskiej“ pisze Mickiewicz:

O morze! Pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie, gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony.
O myśli! W twojej głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi pośród złych losów i namiętnej burzy,
A, gdy serce spokojne, zatapia w niem szpony.

W pierwszym zaś sonecie Słowackiego:

Jest kwiat, co się otwiera pośród nocy cienia
I spogląda na księżyc i miłe tchnie wonie,
Aż póki nie obaczy jutrzenki promienia.
Jest serce, co się kryjąc w zakrwawionem łonie,
W nocy tylko oddycha, w nocy we łzach tonie,
A w dzień pilnie ukrywa głębokie cierpienia.

Uderzającym i niezwykłym jest fakt, że siedmnastoletni chłopak włada wskrzeszoną przez Mickiewicza, a przedtem niewątpliwie nieznaną sobie formą sonetu odrazu śmiało,

pewnie i swobodnie i że — pomimo naśladownictwa — ma już swoje indywidualne właściwości stylu. Takie wyrażenia, jak:

Czoło moje rozjaśni szczęścia błyskawica...

albo:

szczęścia nie znajdzie, kto w twem sercu skona...

lub obraz przyrody:

Błyszczy dąb koralowy (?), błyszczy brzoza złota,
A jaskółkę wewnętrzny niepokój przenika...

mają już w sobie pewne cechy charakterystycsne późniejszych, dojrzałych utworów Słowackiego, jego sposobu patrzenia na przyrodę i ubierania myśli w słowa.

Utworów tych nie wiele doszło do nas. Że było ich znacznie więcej i że powstały pod wpływem „Sonetów“ Mickiewicza i miłości do Ludwiki Śniadeckiej, świadczy następujący ustęp z listu p. Becu do Odyńca (z dnia 9. czerwca 1827 r.):

„Posyłam Panu sonet Julka, co (!) napisał po powrocie z Bołłupia, a z którym się krył dług przed nami. Znalazłam jego książeczkę, w którą swoje wiersze wpisuje; dużo ich tam jest i niektóre bardzo ładne, ale wszystkie w guście sonetu, to jest romansowe strasznie. Jedne pod tytułem „Nowy rok“ bardzo niepospolite, wiele także urywkowych myśli; „Do księżyca“ dobre także. Chciałam sobie poprzepisywać niektóre, ale gałgan schował tak książeczkę, żem jej drugi raz znaleźć nie mogła, a dać jej żadną miarą nie chciał“ [1]).

W życiu Słowackiego zapowiadały się tymczasem poważne zmiany. Pani Salomea przebyła ciężką, bolesną chorobę — po jej wyzdrowieniu zaś zaręczyła się panna Hersylia z Teofilem Januszewskim, bratem p. Salomei. Jeden i drugi fakt to miał następstwo, że p. Becu postanowiła opuścić Wilno i przenieść się do Krzemieńca, do domu rodziców.

[1]) Przewodn. nauk. i lit. 1898, str. 1246—7.

Zanosiło się także na to, że druga przybrana siostra Słowackiego wyjdzie równocześnie za mąż. Starał się mianowicie o rękę panny Aleksandry major rosyjski, Krempin. Przemawiało za nim wszystko, był bowiem przystojny, „do rzeczy“ i bogaty... Wprawdzie panna Aleksandra nie kochała go, ale nie uważano tego za ważną przeszkodę, bo miłość, jak się spodziewała p. Becu, „z czasemby się znalazła“, była jednak ważniejsza rzecz: myśl o opuszczeniu Wilna, ewentualnie kraju. „Na majora nie możemy się zdecydować — pisze p. Becu[1]). — Gdyby mieszkańcem był Wilna, do którego (Olesia) przywykła i przywiązana... ale włóczyć się po świecie, odmieniać miejsca i ludzi, to niezgodne z jej skłonnościami, z jej naturą“. Tym więc jedynie skłonnościom zawdzięczał autor „Kordyana“, że nie spokrewnił się z majorem rosyjskim... Że jednak podówcaas nie odczuwał owych planów rodzinnych tragicznie, dowód choćby w tem, że jako lojalny poddany jest w katedrze wileńskiej na uroczystem nabożeństwie, aby podziękować Bogu za wstąpienie na tron cara Mikołaja[2]).

Przy końcu maja 1827 roku pani Salomea przeniosła się do Krzemieńca, Słowacki zaś pozostał w Wilnie po raz pierwszy w życiu sam na czas dłuższy, bez matki. Mieszkał już nie w gmachu uniwersyteckim, ale początkowo „na zaułku Bernardyńskim, wraz ze znajomym p. Becu, Jaroszewiczem, po wakacyach zaś z rodziną zaprzyjaźnionych z p. Becu Domańskich. Jak mu przeszedł rok cały — nie wiemy. Nic ważnego zapewne w nim nie zaszło, bo czas ten i stosunki pomija w pamiętniku swym zupełnie, wspominając tylko obszerniej o wyjeździe na wakacye i o ostatecznem pożegnaniu Wilna. A jednak ten czas, spędzony w innem trochę otoczeniu, nie wśród samych kobiet, w większej samotności, zapewno często na rozmyślaniach, był bardzo ważnym dla jego rozwoju. Widzimy to wyraźnie po skutkach. Słowacki oddala się duchowo coraz bardziej od dotychczasowych powierników myśli i uczuć; rodzinę swą, zwłaszcza matkę, kocha po dawnemu, spieszy „w jej objęcia“ z radością, ale całej duszy już przed nią nie otworzy.

---

[1]) Przewodn. nauk. i lit. str. 721.
[2]) Tamże, str. 614.

Napróżno będzie p. Salomea żądała od niego szczerych zwierzeń, napróżno będzie skarzyła się na jego „skrytość“ i zalewała łzami — on jej jasno i otwarcie powie, że „to być nie może“ [1]), bo czuje już w sobie instynktownie świat wyższy, szlachetniejszy, niepodobny zupełnie do ekscentrycznych, ale pospolitych, płaskich upodobań rodziny. Jego duma, dotychczas oparta na zachwytach rozkochanej w swym jedynaku matki i na pochlebstwach życzliwego matce otoczenia, teraz znajduje szlachetniejszą podstawę w tej iskierce genialności, która w nim tliła i którą zaczynał coraz wyraźniej, jaśniej odczuwać. Więc „wszystko w sobie zamykając i łzy pożerając w milczeniu“ szuka samotności i marzy. Roją mu się „złote, iskrzące się“ poematy, tragedye, do których treści dostarcza to powstanie greckie, to życie Mahometa — to znowu obmyśla „wschodni jakiś poemat“, który „przeszedł na papier zbladły“, nie tak świetny, jak mu się w wyobraźni przedstawiał, ale który długo zajmował i pochłaniał go całego, tak, że na prelekcyach uniwersyteckich „często całą godzinę o nim przemarzył“ [2]). Jest to zachowany w całości, choć przez poetę nie wydany, „Szanfary“.

„Szanfary“ Słowackiego nie jest w niczem podobny do arabskiej „kasydy“, znanej u nas z przekładu Mickiewicza, a wielbiącej męstwo tego sławnego arabskiego „farysa“. Słowacki znał utwór arabski z przekładu Spitznagla [3]) — ale osnuł na tym temacie oryginalne opowiadanie o dziejach niewiernej kochanki, którą Szanfary zabija, trując sobie tem dalsze życie. Młody poeta zamknął w tym utworze uczucia swoje, jakich doznawał wówczas z powodu miłości ku Ludwice Śniadeckiej; wylał w nim całą gorycz, która przepełniała mu serce, a której przed ludźmi nie chciał wyjawić — i stąd jest „Szanfary“ ważnem świadectwem jego ówczesnego stanu psychicznego.

Mówiąc n. p. o trumnie Mahometa, która „w lekkiej powietrza unosząc się fali wśród nieba, ziemi waha się i pływa“ — dodaje:

---

[1]) „Pamiętnik‘„ Przegląd polski 1879, I., str. 44.
[2]) Tamże, str. 41.
[3]) Por. „Pamiętnik“ — „Przegląd Polski“ 1879, I. str. 35.

Są w świecia serca, które, w młode lata
Straciwszy szczęście w samym życia kwiecie,
Nie mogąc w niebo ulecieć ze świata,
Żyją, a przecież nie żyją na świecie,
Lecz, nim śmierć więzy cielesne rozkruszy,
Pomiędzy ziemię a niebem się ważą,
Tworzą świat nowy, świat serca i duszy,
W tym świecie żyją, kochają i marzą.

„Godzina myśli“ i zawarte w niej losy „dziecka z czarnemi oczyma“ świadczą wyraźnie, że Słowacki mówi tu o sobie — niewątpliwie także przeciw Ludwice Śniadeckiej zwraca się ostrze następującego ustępu:

Do jednej przylgniesz i duszą i sercem —
Strzeż się — bo ona, choć ma lica cudne,
Nie mając duszy, ma serce obłudne,
A okiem swojem tak prędko zabija,
Tak prędko truje ustami z koralu,
Że życie twoje, jak chwila, przemija —
A potem wieczność pełna mąk i żalu...

Rzecz charakterystyczna, że Słowacki, odmawiając (stosownie do pojęć Koranu) kobiecie duszy, myli się w tym ustępie podczas przepisywania utworu i pisze „nie mając serca“[1]), jakby chciał jasno wykazać, że myśli o tej, co była „niegdyś bez serca, potem bez rozumu“. Więc jeżeli tak jest istotnie, jeżeli „Szanfary“ jest fantazyą na tle uczuć ówczesnych poety, to możemy śmiało zawarte w nim pragnienia i myśli przypisać Słowackiemu w owych przełomowych dla niego czasach.

Najcharakterystyczniejszym i z wynurzeniami poety w „Pamiętniku“ i „Godzinie myśli“ najbardziej zgodnym jest żal do ludzi, do otoczenia. Przyrównuje je bardzo zgrabnie do rafy koralowej, złożonej z żywych niegdyś i czujących zwierzątek, które „pośród kamieni — same skamieniały“; bojąc się, aby i jego serce, „trafiając na serca kamienne“, nie doznało podobnego losu, pragnie samotności, marzy o jakimś dla swej duszy „stepie bez końca“, gdzieby

[1]) Dzieła J. Słowackiego. Lwów 1909, t. I. wydał B. Gubrynowicz, str. 349.

zdala od ludzi mógł hasać na koniu i rozkoszować się przyrodą:

O takiem szczęściu serce moje marzy —
Ach, wtenczas będę zupełnie szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Tej samotności przerwać się nie waży.

Autograf „Szanfarego“ nosi datę ostatecznego wykończenia: „Wilno. 1828 rok. 10 luty“. W tym samym czasie p. Becu i jej rodzina zajęta była rozważaniem projektu „Julka“, który po ukończeniu uniwersytetu pragnął usunąć się od gwarnego świata i osiąść na wsi. „Nie wiem, co po skończonym roku (uniwersyteckim) z Julkiem zrobimy — pisze p. Salomea do Odyńca 13. października 1827 r. — Chce on, abyśmy kupili wioseczkę dla ubezpieczenia naszych sumek... ale, jak kupimy, to wleziemy w kłopoty gospodarskie, a to dla mnie straszne. Julkowi tak te projekta wszystkie głowę zajmują, że się może i Warszawy dla nich wyrzeknie“ [1]). Pna Aleksandra określa ściślej te „zachcenia Julka, któremu się jeszcze w oczach dwoi“: — „on na tej wsi widział jakieś spokojne szczęście, a znalazłby istotne nudy“ [2]).

Projekt ten do skutku nie przyszedł. Pani Salomea, w obawie, że „trzeba się jej będzie zająć kurami, kaczkami i z niemi rozkoszować“, a wyrzec „Warszawy z operami, baletami wabiącymi“, wytłumaczyła zapewne synowi, że koniecznie powinien „zrobić cywilną karyerę“ [3]) i w tym celu udać się do Warszawy — może też być, że sam Słowacki od planu tego później odstąpił. W każdym razie jest już w samem rzuceniu tego projektu oznaka walki wewnętrznej, zrywania krępujących go więzów i pragnienie pozbycia się ich w jakikolwiek sposób. On, wypieszczony paniczyk, wychowany na lwiątko salonowe, „trefiony rękami dziewic“, dumny dotychczas z tego, że bez niego w salonach wileńskich tańczyć nie chcą [4]) — on teraz, ma-

---

[1]) Przewodn. nauk. i lit. 1898, str. 1255.
[2]) Tamże, str. 1294.
[3]) „Pamiętnik“, jak wyżej, nadto Przewodn. nauk. i lit. str. 1256.
[4]) Tamże, str. 620 i n.

jąc lat ośmnaście, pragnie zerwać z całem dotychczasowem życiem i szukać samotności w jakiejś zapadłej wiosce! Zawód w miłości jest tu głównym motorem — ale on osądza siebie już wówczas poważnie, w tej miłości indywidualnej widzi winę ciężką i potępia ją przez usta Szanfarego w słowach tak niezwykłych, niespodziewanych wśród warunków jego życia, że trzeba je chyba uważać za przemijający tylko objaw natężenia myśli:

Raj tylko dla tych, co bronią swej wiary,
Co życie łożą dla swojego kraju —
A ci, co żyją w istocie bez duszy[1]),
Co ją kochają nad kraj i nad wiarę,
I nad Proroka — ci za zbrodni karę
Wiecznych Eblisa doświadczą katuszy.

Gdyby ten ustęp był wynikiem głębokich rozmyślań i trwałego już przekonania, byłby to przewrót tak nagły, tak niesłychany, że pozostałby chyba psychologiczną zagadką — ale nadałby zupełnie inny kierunek całemu życiu i twórczości młodziutkiego poety. Niestety, chrzestny syn rektora Pelikana będzie musiał wiele jeszcze przeżyć i przecierpieć, nim myśl tę samą, ale z serdecznego przekonania wynikającą, będzie mógł włożyć w usta ks. Marka w „Beniowskim"; na razie więcej w niej było — i być musiało — „literatury", niż szczerego, wcielajacego się w czyn przekonania. Wprawdzie w Tulczynie będzie bolał, że pałac ten był mieszkaniem „zdrajcy ojczyzny", ale patryotycznej głębi „Konrada Wallenroda" nie pojmie i nie odczuje, tak samo, jak, naturalnie, nie odczuwała jej p. Becu. Więc na egzemplarzu tego wspaniałego poematu zanotuje podczas czytania wiele ciekawych uwag, chwaląc lub ganiąc formę literacką, sposób ujęcia treści i t. d. — idea jednak utworu nie przejmie go, bo życie nie przygotowało go do jej odczucia, do zrozumienia jej niezwykłej wielkości.

W uwagach wspomnianych dopatrywano się niechęci i zawiści do Mickiewicza. Tak nie było. Aż do czasu przybycia na emigracyę niema w życiu Słowackiego ani śladu jakiegokolwiek uprzedzenia do Mickiewicza, pomimo, że

[1]) = kobiecie.

objawiało się ono niejednokrotnie w jego otoczeniu. Natomiast, gdy w „Galérie universelle“, pośród wizerunków znakomitych ludzi ukazuje się portret Mickiewicza, p. Salomea donosi o tem z Krzemieńca Słowackiemu, pewna, „że jego to tak ucieszy, jak ją“ [1]). W r. 1828, podczas dwutygodniowego pobytu w Jaszunach u Śniadeckich, Słowacki deklamował im poezye Mickiewicza, aby ich pogodzić z jego twórczością [2]). Dowód w tem raczej wielkiego szacunku, niż niechęci.

Po rozstaniu się z matką był Słowacki dwa razy przez czas dłuższy w Krzemieńcu: raz w czasie wakacyi 1827 r. i wtedy odbył pełną wrażeń podróż do Odesy — drugi raz przez pół roku po ukończeniu uniwersytetu i po bolesnem rozstaniu się z Ludwiką Śniadecką. Czas ten przepędził na uczeniu się języka angielskiego, na ćwiczeniu się w malarstwie, którem zajmował się już w Wilnie i na marzeniach poetyckich.

Wtedy odbywały się także ostateczne narady nad dalszymi jego losami. Pani Salomea pragnęła syna umieścić w Warszawie i sama z nim tam pojechać, przyczem mieli odbyć większą podróż, zapewne za granicę. Ale Słowacki nie chciał się na to zgodzić. Wieczny płacz matki i żądania poufnych zwierzeń powiększały tylko przedział między nią a synem. Wychowany między kobietami, podległy ich wpływom, zależny od ich kaprysów, Słowacki pragnął „jak najprędzej z rąk ich się wyrwać i być samotnym“. Zdrowy instynkt samozachowawczy mówił mu, że, pozostając dłużej pod opieką kobiecą, zmarnieje zupełnie a rojenia jego o przyszłości zostaną na zawsze tylko rojeniami. Wiedział także, że matkę jego pociągał do Warszawy przedewszystkiem Odyniec — a myśl ta nie mogła go zbytnio rozrzewniać. Oparł się więc tym projektom i koniecznie żądał dla siebie samoistności, aby ją zaś osiągnąć, zgodził się ostatecznie „dla dogodzenia matce“ na jej żądanie, że w warszawskiem biurze ministeryalnem będzie szukał „karyery“ [3]).

---

[1]) Przewodn. nauk. i lit. str. 1260.

[2]) Tamże, str. 1271.

[3]) W pisanym już na emigracyi „Pamiętniku“ Słowacki pod wpływem tęsknoty za krajem i rodziną przedstawia tę sprawę inaczej. Oskarza siebie poprostu, że z matką pragnął się rozłączyć, przy-

Dnia 15. lutego 1829 roku wyjeżdża z Krzemieńca, aby już nigdy w strony rodzinne nie powrócić.

W Warszawie życie płynęło mu bezbarwnie, nudnie. Większą część dnia przepędzał „przy zielonym stoliku komisyi skarbu, w oddziale sekretaryatu jeneralnego, gdzie najbogatsza młodzież i krewni ministra pracowali“ [1]). Była to praca pegaza, zaprzęgniętego do pługa, więc nie dziw, że nudziła go, męczyła, doprowadzała do rozpaczy. Tem gorliwiej oddawał się marzeniom i twórczości. „Do mego — opowiada w swym „Pamiętniku“ — usposobienia melancholijnego przyłączyła się okropna febra...; ta wyniszczyła wszystkie moje siły. Okropne gorączki paliły mnie po każdym paroksyzmie, a wtenczas, leżąc twarzą na sofie, marzyłem o różnych poematach — i te marzenia były trudzące. Z rozpaczą chciałem je odpędzić — i wracały zawsze, a krew, bijąca w skronie, coraz okropniejsze przynosiła mi obrazy... Tak przebyłem całe lato; siedziałem samotny, trawiony piekielną gorączką“. „Łatwo pojąć — opowiada dalej poeta — jak takie nudne życie wróciło mnie do kraju imaginacyi; siły wyobraźni wzięły przewagę nad wyniszczonemi fizycznemi siłami. W imaginacyi zacząłem słyszeć głosy, którym się oprzeć nie mogłem, i, raz zacząwszy pisać, utworzyłem wszystkie prawie, zawarte w dwóch tomach, poezye w przeciągu półtora roku“ [2]). Powstały więc wtedy powieści poetyczne: „Hugo“, „Mnich“, „Arab“ i „Jan Bielecki“ i tragedye: „Mindowe“ i „Marya Stuart“. Słowacki zamyślał wydać je zaraz. Dnia 15. listopada 1830 r. zapisuje w swym notatniku, że utwory wymienione (z wyjątkiem tragedyi „Mindowe“) „oddał do cenzury, a wkrótce odda do druku“.

W dwa tygodnie później wybuchło powstanie.

---

pisuje to bajronicznemu pragnieniu szukania przygód poetycznych, wobec czego podróż z matką byłaby banalnym i dobrodusznym kontrastem. Listy jednak p. Becu do Odyńca i cały dalszy bieg życia Słowackiego, zwłaszcza w Warszawie, świadczą, że poeta drobne, konieczne w tym wieku akcesorya przedstawia jako powód główny i że w szczerości swej przesadza na własną niekorzyść.

[1]) „Pamiętnik“, Przegląd polski l. c. str. 45.

[2]) Tamże, str. 46.

Jeżeli się zważy dokładnie czynniki, wśród których urabiały się do tej chwili przekonania Słowackiego, wyniknie z tego niezbicie wniosek prosty i jasny, że zbrojny ruch narodowy nie mógł w nim wywołać entuzyazmu i porwać za sobą. Na to trzeba było od dzieciństwa oddychać i poić się miłością ojczyzny i ideą poświęcenia się dla niej, trzeba było w domu rodzicielskim nauczyć się zaciskać pięście na widok cierpień narodu i samemu choćby cząstkę ich w duszy przeboleć; — w salonach senatorów i gubernatorów rosyjskich nie można było przejąć się takiemi ideami. Syn p. Becu za mało jeszcze oddalił się duchowo od swej rodziny, aby był już zdolnym do potężnych porywów patryotycznych.

Jednakże dłuższy pobyt w tętniącej polskością Warszawie podziałał na niego: Słowacki nie pozostał zimnym wobec tego epokowego faktu, wypadki nocy z dnia 29. listopada wstrząsnęły nim, zapał powszechny ogarnął i jego. Rzuca się do pisania. Po suchej, retorycznej, pseudoklasycyzmem mocno trącącej „Odzie do wolności“, pisze jędrny, nie pozbawiony siły i zapału „Hymn“ — „Bogarodzico!“. Hymn ten, wydrukowany w „Kurjerze Polskim“ dnia 7. grudnia 1830, przedrukowany natychmiast przez większość ówczesnych czasopism warszawskich, rozchwytany w osobnem wydaniu, zdobywa Słowackiemu rozgłos i stawia go w pierwszym rzędzie rewolucyjnych poetów. Subtelny, lekki „Kulik“, a wreszcie „Pieśń legionu litewskiego“ zwiększają tę sławę, chociaż wrażenia „Hymnu“ nie potęgują. Słowacki długo jeszcze będzie znany jako „autor Bogarodzicy“.

Tymczasem po dniach radości i tryumfu nastały dni smutku i niepewności. Wojska rosyjskie coraz bardziej zbliżały się do Warszawy — huk dział z poblizkich terenów bitew dochodził do uszu mieszkańców; gorączkowo sypano szańce i przygotowywano się do rozpaczliwej obrony. Poezya słów stała się zbyteczną — przyszedł czas na czyny.

Widząc, jak jego rówieśnicy zaciągali się pod chorągwie i chwytali broń, Słowacki zaczął się wahać; nie wiedział, co czynić. „Trzeba było iść do wojska, miałem aż

nadto do tego chęci" — pisał później do matki[1]). — Być może, że chęci te istotnie były, nie było jednak sił, aby je w czyn wprowadzić, aby takim obowiązkom podołać. Czyż ten 21-letni, wątły, szczupły młodzieniec, noszący w zapadłej piersi zarodki suchot, tylko troskliwą opieką i pieczołowitością matki uchroniony od wczesnej śmierci[2]) — czyż on mógłby udźwignąć karabin i być na polu bitwy czemś więcej, niż zawadą? Czyż miał stanąć niedołężnie w szeregach na to tylko, aby, jak desperat lub szaleniec, przyjąć w piersi kule moskiewskie, bez żadnego pożytku dla ojczyzny, a nawet ze szkodą dla niej? Bo on czuł wyraźnie, że wartość jego polega nie na brutalnej sile ramion, ale na zdolnościach poetyckich — że piórem tylko może przysłużyć się ojczyznie. Ale wszak i na wojnie potrzebne są oprócz dział i karabinów także dzielne pióra. Więc Słowacki zgłasza się do rządu narodowego i ofiarowuje mu swe zdolności do rozporządzenia. „Chciałem, nie mogłem być użytecznym" — tłumaczył się matce. — „Ofiarowałem moje usługi w biurze dyplomatycznem. Mój wielki niegdyś protektor X. (ks. Lubecki) chciał mi zaraz dać pensyą — nie przyjąłem tej; cóż..." Tu uszkodzony rękopis listu odbiera nam, niestety, dalsze wyjaśnienia — pozostaje tylko ich ostateczny wynik: „Nie zostawiono mi nawet przekonania, że byłem użyteczny, lub że nim kiedyś być mogłem" [3]).

W takich warunkach był Słowacki istotnie bezradny. Ofiarował rewolucyi więcej, niż się po synu p. Becu można było spodziewać, bo i talent poetycki i wiedzę swą — słowem: całego siebie, wszystko, co w tem wątłem, bezsilnem ciele przedstawiało wartość. Do boju orężnego niezdolny, nie stawał w zbrojnych szeregach; nie mógł ojczyznie ofiarować silnej dłoni, bo jej nie posiadał.

Wreszcie, gdyby nawet był zdrów i silny fizycznie, byłby najprawdopodobniej nie rzucił się w wir walki, tej ohydnej walki nowożytnej, gdzie pierwszy lepszy tchórz

---

1) Listy, wyd. L. Méyeta, I., str. 41.

2) Por. w „Godzinie myśli":

Ludzie często: „On umrze" — mówili przed matką.

3) Listy, t. I., str. 45.

jednem pociągnięciem cyngla obala największego bohatera. W ludziach genialnych tkwi od wczesnych lat życia świadomość własnej wartości moralnej i nieprzezwyciężony wstręt do ślepej, brutalnej siły, która ją może unicestwić. Żaden geniusz poetycki świata nie był jeszcze dzielnym żołnierzem — żaden Leonidas nie narażał wraz ze swem życiem geniuszu poetyckiego. Byron, który pozornie stanowi wyjątek, ofiarował sprawie greckiej nie życie swe, lecz pieniądze i kupione nimi pułki i nie jako żołnierz-ochotnik, lecz jako bezpieczny od kul książę czy król udzielny wchodził w tryumfie pomiędzy potomków Milcyadesa. Wszakże Michał Anioł pomimo swego patryotyzmu ucieka za zbliżeniem się nieprzyjaciół z miasta rodzinnego, którego obronę mu powierzono. Mickiewicz, ten największy patryota, jakiego Polska wydała, nie wstąpił w szeregi powstańcze, chociaż go do nich wzywano — z Rzymu, gdzie się o wybuchu rewolucyi dowiedział, pospieszył nie do Warszawy, lecz do Paryża, a przybywszy wreszcie w Poznańskie, nie mógł jakoś przejść granicy, przez którą przed nim przeszły całe legiony. Krasińskiemu wystarczył naprzód brak pozwolenia, później zaś wyraźny zakaz uważanego powszechnie za zdrajcę ojca, aby pozostać zdala od pola walki. Wszyscy oni przechodzili katusze zmagania się wewnętrznego, wszyscy mieli fizyczną możność chwycenia broni, ale nie mieli możności wewnętrznej, duchowej, tej, która kieruje naszymi czynami i sądzi ich wartość i godziwość. Poczucie wartości własnej szeptało im, że siłę ich mięśni zastąpi pierwszy lepszy parobczak, a duch ich, niczem nie dający się zastąpić, jest przeznaczony do innych czynów.

Był jeszcze drugi może wzgląd: brak wiary w powodzenie sprawy, a nadto pewne niedocenianie ważności rozgrywającej się tragedyi narodowej. Wpływała na to prawdopodobnie epoka wojen napoleońskich i Kongresu wiedeńskiego, epoka świeża jeszcze w ich pamięci, a dziwnie podobna do ówczesnej. Wszakże przy boku Napoleona cała Polska wystąpiła do wojny z Rosyą, a jednak nie zniszczyło to jej bytu i tylko Księstwo Warszawskie zmieniło się wskutek tego w Królestwo Polskie. Rozumując na podstawie tej analogii, przypuszczano, że upadek powstania listopadowego nie pociągnie za sobą zbyt groźnych skutków,

że może być katastrofą dla jednostek, lecz nie dla narodu. Dopiero, gdy po wzięciu Warszawy zapanował straszny ucisk, gdy konstytucya przestała faktycznie istnieć, a Królestwo Polskie stało się tylko prowincyą państwa rosyjskiego — wtedy dopiero zrozumiano, że zgniecenie powstania było klęską dla bytu narodu, że zagrażało jego dalszemu rozwojowi i istnieniu. Wtedy rozpacz ogarnia tych poetów, którzy nie stali w zbrojnych szeregach; oskarżają się i potępiają (Mickiewicz w ostatniej scenie „Dziadów“. Krasiński w „Nie-Boskiej Komedyi“, Słowacki w „Kordyanie“) i całem swem życiem starają się zmazać tę winę, którą noszą na swem czole, jak Konrad ową bolesną czarną kropelkę rany. Wtedy zaczyna się najpotężniejszy wzlot ich poezyi i rozgrywa się pierwszy akt tragedyi ich życia.

Ale z początkiem r. 1831 Słowacki z przytoczonych powyżej powodów nie odczuwał bynajmniej tragizmu sytuacyi. Temperamentu, potrzebnego do rzucenia się w wir wypadków na oślep, nie miał i nie miał na to zdrowia — sądził, że w biurze dyplomatycznem nie może być użytecznym — nie wiedział więc, co począć. Podczas tego wahania się otrzymuje od matki list wraz z przekazem pieniężnym do jednego z banków w Dreznie. Ta delikatna, a wymowna wskazówka, poparta zresztą treścią listu, położyła kres dalszemu wahaniu się. Dnia 8. marca 1831 roku Słowacki, „kłócąc się z sumieniem“, mając wrażenie, „że ucieka“ — opuszcza Warszawę i na Wrocław udaje się do Drezna.

Z tą chwilą zaczyna się w jego życiu nowa epoka — epoka bolesnej tułaczki wśród obcych.

Powiedział kiedyś Zola, że „charakter wytwarza się tak samo, jak kwas siarkowy lub cukier“. To na pozór skrajnie przesadne zdanie mieści w sobie wiele rzetelnej prawdy i jest w blizkiem pokrewieństwie z Tainowską teoryą środowiska i z poglądem Mickiewicza na człowieka, wiecznego sługę, którego sądy i przekonania są zawisłe od drugich, od bezpośredniego i pośredniego otoczenia.

Jeżeli z tego stanowiska rozważymy młodość Słowackiego, stanie nam przed oczyma cały jej tragizm.

Kiedy Mickiewicz po „sielskiem, anielskiem", lecz dosyć twardem, dzieciństwie przybywa do Wilna, aby zapisać się na uniwersytet, dusza jego jest jakby białą, czystą, niezmiernie wrażliwą kartą. Nie zna on jeszcze życia, nie ma wyrobionych pojęć i dążeń; jego genialne zdolności drzemią w nim i czekają, w jakim kierunku los je zwróci. A los oddaje go w ręce najszlachetniejszego młodzieńca, jakim się ówczesna Polska chlubiła, w ręce wielkiego patryoty i idealisty, Tomasza Zana. Ten nieoceniony wychowawca z troskliwością matki kieruje jego krokami, wprowadza go w świat ideałów filareckich i z geniusza, który byłby może poszedł torem Petrarki lub Woltera, czyni płomienny sztandar sprawy narodowej.

Wpływ, jaki na Słowackiego wywierało otoczenie, był od wczesnej młodości zupełnie inny, wręcz przeciwny. Rozwijało ono wprawdzie jego wrażliwość i subtelność, dawało mu jednak zatruty pokarm duchowy, uczyło oportunizmu i sobkowstwa, a nie wpajało żadnych ideałów, oprócz — dążenia do „cywilnej karyery". To, co Mickiewiczowi dał Zan, musi Słowacki zdobywać sam z trudem największym. Będzie on musiał wyprzeć się wszystkiego, co mu w młodości kazano cenić, będzie musiał smagać biczem satyry to, w czem wzrósł i co, wzrastając, uważał za słuszne, będzie musiał pogardzać tem, co w młodości kochał — i wtedy dopiero, po tej bolesnej negacyi, po wydarciu z siebie i odrzuceniu wszystkich dawnych wiar i ukochań, wszystkiego, co mu młodość dała, zbliży się do tej wyżyny niedościgłej, na której go dzisiaj widzimy i podziwiamy.

Kiedy ewolucya duchowa Mickiewicza polegała na zachowaniu otrzymanego w młodości kierunku, ewolucya Słowackiego musi przechodzić przez gruzy jego młodzieńczych upodobań, a posuwać się po drodze wprost przeciwnej tej, którą mu w młodości iść kazano. Całą niemal tę kartę życia musi on przekreślić i zatrzeć, nim będzie mógł napisać na niej nowy, wzniosły poemat swego późniejszego życia.

Pierwszym krokiem w tym pochodzie duchowym jest odsunięcie się od otoczenia, są chwile samotnych dumań; potem pobyt w sercu Polski, w patryotycznej Warszawie, dorzuci swą cegiełkę i sprawi, że przez Słowackiego przejdą

pierwsze dreszcze uniesień patryotycznych, że lojalny poddany, szczycący się znajomością z Nowosilcowem, stanie się autorem „Bogarodzicy“. Ale przemiana to chwilowa i powierzchowna. Trzeba jeszcze wielu doświadczeń, wielu dumań, a zwłaszcza wielu cierpień, aby mógł nastąpić przewrót stanowczy, aby Słowacki przejrzał, poznał swe braki, uleczył ułomności i osądził się surowiej, niż należało, mówiąc do Matki Makryny:

Godności nie mam — przed męką uciekłem.

Tych przejść bolesnych, stopni do wyżyn doskonałości, których młodość nie dała mu dostąpić, nie poskąpiło mu tułacze życie na obczyźnie.